

ROZDZIAŁ 1

299 GODZIN, **54** MINUTY

W jednej chwili nauczyciel opowiadał o wojnie secesyjnej.

A w następnej już go nie było.

Zniknął.

Bez żadnego „puff”. Bez rozbłysku. Bez wybuchu.

Sam Temple siedział na lekcji historii, gapił się na tablicę, ale myślami błądził gdzieś daleko. Byli razem z Quinnem na plaży, mieli deski, krzyczeli i szykowali się do pierwszego skoku w zimne fale Pacyfiku.

Przez chwilę myślał, że tylko sobie wyobraził zniknięcie nauczyciela. Przez chwilę miał wrażenie, że śni na jawie.

Odwrócił się do Mary Terrafino, która siedziała po jego lewej.

– Widziałaś to?

Mary uporczywie wpatrywała się w miejsce, w którym stał nauczyciel.

– Eee, gdzie jest pan Trentlake? – odezwał się Quinn Gaither, najlepszy, a może nawet jedyny przyjaciel Sama. Siedział tuż za Samem. Obaj woleli miejsca przy oknie, bo czasem, jeśli spojrzano się pod odpowiednim kątem, dawało się dostrzec wąski, srebrny pasek wody połyskującej pomiędzy zabudowaniami szkoły a położonymi dalej domami.

– Widocznie wyszedł – powiedziała Mary takim tonem, jakby sama w to nie wierzyła. Edilio, nowy uczeń, który już wcześniej zwrócił uwagę Sama, odrzekł:

– No nie. Puff. – Palcami wykonał gest, który dość dobrze zilustrował tę koncepcję.

Uczniowie popatrywali po sobie nawzajem, wykręcając szyje to w jedną, to w drugą stronę i chichocząc nerwowo.

Nikt się nie bał. Nikt nie płakał. Sytuacja wydawała się dość zabawna.

– Pan Trentlake zrobił „puff”? – spytał Quinn, tłumiąc śmiech.

– Ej – odezwał się ktoś – a gdzie Josh?

Kilka głów odwróciło się.

– A był dziś w szkole?

– No pewnie. Siedział koło mnie. – Sam poznał ten głos. Należał do Bette. Skaczącej Bette. – Po prostu, no wiecie, zniknął – powiedziała. – Tak jak pan Trentlake.

Nagle drzwi stanęły otworem, przyciągając wszystkie spojrzenia. Zaraz do środka wejdzie pan Trentlake, może nawet z Joshem, i wyjaśni, jak wykonał tę magiczną sztuczkę, a potem znowu zacznie opowiadać swoim podekscytowanym, pełnym napięcia głosem o wojnie secesyjnej, która nikogo nie obchodziła.

Ale to nie był pan Trentlake, tylko Astrid Ellison, znana jako Genialna Astrid, bo była... no, była genialna. Chodziła na wszystkie lekcje dla zaawansowanych, jakie szkoła organizowała. Z niektórych przedmiotów przerabiała nawet internetowe kursy uniwersyteckie.

Astrid miała jasne włosy do ramion i lubiła nosić wykrochmalone, białe bluzki z krótkim rękawem, które zawsze przyciągały uwagę Sama. Wiedział, że Astrid jest poza jego zasięgiem. Ale żadne prawo nie zabraniało mu o niej myśleć.

– Gdzie wasz nauczyciel? – spytała Astrid.

Wszyscy jak jeden mąż wzruszyli ramionami.

– Zrobił „puff” – odparł Quinn, jakby to było śmieszne.

– Nie ma go na korytarzu? – zainteresowała się Mary.

Astrid pokręciła głową.

– Dzieje się coś dziwnego. Moje kółko matematyczne... Było nas tylko troje plus nauczycielka. Wszyscy po prostu zniknęli.

– Co? – nie dowierzał Sam.

Popatrzyła prosto na niego. Nie mógł odwrócić wzroku, jak zawsze w podobnych sytuacjach, bo w jej spojrzeniu nie dojrzał tego wyzwania i ironii, co zwykle. Za to krył się w nim lęk. Bystre, niebieskie, ostro spoglądające oczy były teraz szeroko otwarte, ukazując zdecydowanie zbyt dużo białka.

– Nie ma ich. Po prostu... zniknęli.

– A twoja nauczycielka? – odezwał się Edilio.

– Też zniknęła – odparła Astrid.

– Zniknęła?

– Puff – powtórzył Quinn, choć już się nie śmiał, myśląc pewnie, że to co mówi, jest mało śmieszne.

Sam wsłuchał się w dobiegające zza okien dźwięki. Gdzieś w oddali, w mieście, wyły niepokojąco alarmy samochodowe. Wstał, czując lekki wstyd, jakby wcale nie powinien tego robić, i na sztywnych nogach podszedł do drzwi. Astrid odsunęła się, żeby mógł przejść. Poczł zapach jej szamponu.

Sam spojrział w dół korytarza, w stronę sali 211, gdzie spotykali się matematyczni maniacy. Zza następnych drzwi, z sali 213, wychylił głowę jakiś dzieciak. Minę miał na poły przestraszoną, na poły oszołomioną, jak ktoś, kto wsiada na rollercoaster.

Z drugiej strony, przy 207, rozległ się zbyt głośny śmiech uczniów. Przerażliwie głośny. Piątoklasiści. Z drzwi naprzeciwko, z sali 208, wypadli nagle szóstoklasiści i stanęli jak wryci. Patrzyli na Sama, jakby spodziewali się, że na nich nakrzyczy.

Szkoła w Perdido Beach była małą placówką, podstawówką i gimnazjum w jednym budynku, gdzie chodzili wszyscy, od przedszkolaków do dziewiątoklasistów. Szkoła średnia znajdowała się w San Luis, o godzinę jazdy samochodem. Sam ruszył w stronę klasy Astrid. Ona i Quinn szli tuż za nim.

Pomieszczenie okazało się puste. Krzesła przy ławkach, krzesło nauczycielki – puste. Na trzech ławkach leżały otwarte książki do matematyki. I zeszyty. Wszystkie komputery, rząd podstarzałych Macintoshy, migotały ekranami, na których nie wyświetlał się żaden obraz.

Na tablicy wyraźnie widniał napis „Wielom”.

– Pisała słowo „wielomian” – powiedziała Astrid teatralnym szeptem.

– No, nie domyśliłbym się – stwierdził z drwiną w głosie Sam.

– Ja raz miałem wielomian – odezwał się Quinn. – Lekarz mi go usunął.

Astrid zignorowała tę nieudolną próbę rozbawienia towarzystwa.

– Zniknęła, kiedy pisała literę „i”. Patrzyłam prosto na nią.

Wykonała lekki ruch i wskazała coś palcem. Na podłodze leżał kawałek kredy, dokładnie w miejscu, gdzie by upadł, gdyby ktoś pisał słowo „wielomian” – cokolwiek ono oznaczało – i zniknął przed postawieniem kropki nad „i”.

– To nie jest normalne – zauważył Quinn.

Quinn był od Sama wyższy, silniejszy, i surfował przynajmniej równie dobrze. Ale z tym swoim kretyńskim uśmieszkiem i skłonnością do noszenia ciuchów przypominających raczej teatralne kostiumy – dziś włożył workowate szorty, buty pustynne z demobilu, różowy golf i szarą fedorę, znalezioną u dziadka na strychu – roztaczał wokół siebie aurę dziwaka, która niektórych zrażała, a u innych budziła lęk. Quinn był klasą sam dla siebie i może dlatego on i Sam tak dobrze się dogadywali.

Sam Temple nie rzucał się w oczy. Nosił dzinsy i zwyczajne T-shirty, nic, co by przyciągało uwagę. Większość życia spędził w Perdido Beach, chodząc do tej szkoły, i wszyscy wiedzieli, kim jest, choć tylko nieliczni go rozumieli. Był surferem, który nie spędzał czasu z surferami. Był bystry, ale nie należał do orłów intelektu. Był przystojny, ale nie aż tak, by dziewczyny piszczały na jego widok. Większość dzieciaków wiedziała o Samie tyle, że mówili na niego Autabus. Zdobył to przezwisko w siódmej klasie. Klasa jechała na wycieczkę i kierowca szkolnego autobusu miał zawał serca. Jechali autostradą numer 1. Sam ściągnął

mężczyznę z siedzenia, doprowadził autobus na pobocze i bezpiecznie go zaparkował, po czym spokojnie zadzwonił pod 112 z komórki kierowcy.

Gdyby choć przez chwilę się zawahał, autobus spadłby z urwiska i wleciał do oceanu. Jego zdjęcie zamieścili w gazecie.

– Tamta dwójka i nauczycielka zniknęli. Wszyscy oprócz Astrid – podsumował Sam. – To na pewno nie jest normalne. – Próbował się nie zająknąć, gdy wymawiał jej imię, ale bez powodzenia. Tak już na niego działała.

– Tak. Trochę tu cicho, bracie – oznajmił Quinn. – Dobra, jestem już gotów, żeby się obudzić. – Wyjątkowo nie żartował.

Ktoś krzyknął.

Cała trójka wypadła na korytarz, gdzie roiło się już od uczniów. Jak się okazało, krzyczała szóstoklasistka o imieniu Becka. Trzymała swoją komórkę.

– Nie odpowiada. Nie odpowiada! – wołała. – Nic!

Na dwie sekundy wszyscy zamarli. Potem rozległ się szmer i gwar oraz odgłos dziesiątków palców, wciskających dziesiątki klawiszy.

– Nic się nie dzieje.

– Moja mama jest w domu, odebrałaby. Nawet nie dzwoni.

– Kurczę, Internetu też nie ma. Mam sygnał, ale nic więcej.

– U mnie są trzy kreski.

– U mnie też, ale nikt nie odbiera.

Ktoś zaczął jęczeć, był to przejmujący dźwięk. Wszyscy mówili jednocześnie, a rozmowy przeradzały się w krzyk.

– Spróbuj pod 112 – powiedział przerażony głos.

– A myślisz, że do kogo dzwoniłem, idioto?

– Nie ma 112?

– Nic nie ma. Sprawdziłem połowę numerów z szybkiego wybierania i nic.

Korytarz zapełnił się uczniami, niczym podczas przerwy. Ale nikt nie pędził na następną lekcję, nie gadał, nie śmiał się, nie otwierał szafki. Nie kierowano się w żadną stronę. Ludzie po prostu stali, niczym stado bydła, zastygli w bezruchu, wyczekujący na sygnał, by pognać w panicznym beładnym pędzie.

Rozległ się dzwonek, głośny niczym wybuch. Wszyscy wzdrygnęli się, jakby słyszeli jego dźwięk pierwszy raz.

– Co robimy? – spytało kilka głosów.

– W sekretariacie musi ktoś być, przecież dzwonek zadzwonił! – wykrzyknął jakiś chłopak.

– Ma włącznik czasowy, debilu – skontrolował Howard.

Howard był gnidą. Wciąż podlizywał się Orcowi, budzącemu lęk typowi z ósmej klasy. Tej góry tłuszczu i mięśni bali się nawet dziewiątoklasiści. Nikt nie wyzywał Howarda. Każde skierowane do niego obraźliwe słowo stanowiło atak na Orca.

– W pokoju nauczycielskim jest telewizor – przypomniała sobie Astrid.

Sam i Astrid, a za nimi Quinn, popędzili w stronę pokoju nauczycielskiego. Zbiegli po schodach na parter, gdzie było mniej sal lekcyjnych i uczniów. Gdy dłoń Sama znalazła się na klamce, przystanęli.

– Nie wolno nam tam wchodzić – stwierdziła Astrid.

– Przejmujesz się? – spytał Quinn.

Sam pchnął drzwi, stanęły otworem. Nauczyciele mieli lodówkę. Była otwarta. Na podłodze leżał kartonik z jagodowym jogurtem Danone, a brejowata zawartość wylewała się z niego na dywan. Włączony telewizor nie pokazywał obrazu, a jedynie zakłócenia.

Sam sięgnął po pilota. Gdzie był pilot?

Quinn go znalazł. Zaczął skakać po kanałach. Nic, nic i nic.

– Kabel odłączony – powiedział Sam, świadom, że brzmi to dość głupio.

Astrid sięgnęła za odbiornik i wykręciła kabel koaksjalny. Ekran zamigotał, a wygląd zakłóceń nieco się zmienił, ale gdy Quinn znów sprawdził kanały, ponownie nic nie znalazł.

– Zawsze można złapać kanał dziewiąty – zauważył Quinn. – Nawet bez kabla.

Astrid odezwała się:

– Nauczyciele, część uczniów, kablówka, telewizja naziemna, komórki... Wszystko zniknęło w tym samym czasie? – Zmarszczyła brwi, próbując to ogarnąć. Sam i Quinn czekali, jakby na wyjaśnienie. Jakby za chwilę miała powiedzieć: „A, jasne, teraz rozumiem”. W końcu to była Genialna Astrid. Ale powiedziała jedynie: – To nie ma żadnego sensu.

Sam podniósł słuchawkę wiszącą na ścianie telefonu stacjonarnego.

– Nie ma sygnału. Czy jest tu radio?

Nie było. Drzwi otworzyły się na oścież i do środka wbiegli dwaj chłopcy z piątej klasy. Mieli oszalałe, rozemocjonowane twarze.

– Szkoła jest nasza! – krzyknął jeden, a drugi zawył w odpowiedzi.

– Rozwalimy automat ze słodyczami – oznajmił ten pierwszy.

– Może to nie najlepszy pomysł – odparł Sam.

– Nie będziesz nam mówił, co mamy robić. – Chłopak był wojowniczo nastawiony, ale trochę jednak niepewny siebie.

– Masz rację, mały. Ale słuchaj, może spróbujemy trzymać to wszystko w kupie, dopóki się nie połapiemy, co jest grane? – zaproponował Sam.

– No to trzymaj sobie w kupie! – odkrzyknął chłopak.

Drugi znowu zawył i obaj wybiegli z pokoju.

– Pewnie nie wypadało ich prosić, żeby przynieśli mi Twixa – mruknął Sam.

– Piętnaście lat – odezwała się Astrid.

– Nie, co ty, mieli gdzieś po dziesięć – sprostował Quinn.

– Nie oni. Jink i Michael, którzy chodzą ze mną na zajęcia. Obaj byli świetni z matmy, lepsi ode mnie, ale mieli trudności w uczeniu się, chyba z powodu dysleksji. Obaj byli trochę starsi. Tylko ja miałam czternaście lat.

– Zdaje się, że w naszej klasie Josh mógł mieć skończone piętnaście – zauważył Sam.

– No i co?

– No i to, że miał piętnaście lat, Quinn. Po prostu... zniknął. Puff i nie ma.

– Niemożliwe. – Quinn pokręcił głową. – Wszyscy dorośli i starsi uczniowie w szkole znikają? To nie ma sensu.

– Nie tylko w szkole – wtrąciła Astrid.

– Co? – warknął Quinn.

– A telefony i telewizja? – podsunęła.

– Nie, nie, nie, nie, nie – odparł. Kręcił głową i lekko się uśmiechał, jakby opowiedziano mu marny dowcip.

– Moja mama – powiedział Sam.

– Stary, przestań – przerwał mu Quinn. – Dobra? To nie jest śmieszne.

Pierwszy raz Sam poczuł, że znalazł się na skraju paniki. Przypominało to swędzenie u podstawy kręgosłupa. Serce mocno waliło mu w piersi, jak po wysiłku, jakby przed chwilą biegł.

Głośno przełknął ślinę. Wciągnął powietrze, niezdolny do głębszego oddechu. Spojrzał w twarz przyjaciela. Nigdy nie widział Quinna tak przestraszonego. Okulary przeciwsłoneczne skrywały jego oczy, ale usta mu drżały, a po szyi rozlewała się czerwona plama. Z kolei Astrid była spokojna, zdecydowana, marszczyła brwi w skupieniu, próbując znaleźć we wszystkim, co się działo, jakiś sens.

– Musimy to sprawdzić – uznał Sam.

Quinn wydał z siebie dźwięk, który brzmiał jak szloch. Już się poruszał, odwracał głowę. Sam złapał go za ramię.

– Puść mnie, bracie – warknął tamten. – Muszę iść do domu. Muszę zobaczyć.

– Wszyscy musimy iść i zobaczyć – potwierdził Sam. – Ale chodźmy razem.

Quinn zaczął się wrywać, ale Sam wzmocnił uścisk.

– Quinn. Razem. Chodź, stary. To wszystko jakby zrzuciło cię z deski, wiesz? Lecisz i co robisz?

– Starasz się nie denerwować – mruknął Quinn.

– Właśnie. Ani na chwilę nie tracisz głowy, tak? A potem płyniesz w stronę światła.

– Surfingowa przerośnia? – spytała Astrid.
Quinn przestał się opierać. Odetchnął urywanie.
– Okej, tak. Masz rację. Razem. Ale najpierw mój dom. To pokręcone. To takie pokręcone.
– Astrid? – spytał Sam, niepewny, czy dziewczyna w ogóle chce iść z nim i z Quinnem. Miał wrażenie, że jeśli ją zapyta, postąpi bezczelnie, a jeśli nie zapyta, okaże się nieuprzejmy.
Popatrzyła tak, jakby liczyła, że wyczyta coś z jego twarzy. Nagle zrozumiał, że Genialna Astrid nie wie, co robić ani dokąd iść, zupełnie jak on. To wydawało się niemożliwe. Z korytarza dobiegała narastająca kakofonia. Przestraszone głosy, niektóre beztrzeskie jakby wszystko było w porządku. W innych pobrzmiwało niemal szaleństwo.
Ten hałas nie wróżył nic dobrego, przeciwnie, budził grozę.
– Chodź z nami, Astrid, dobra? – zaproponował Sam.
– Razem będziemy bezpieczniejsi.
Astrid wzdrygnęła się na słowo „bezpieczniejsi”. Ale skinęła głową.
Szkoła stała się teraz groźnym miejscem. Przestraszeni ludzie robią czasem straszne rzeczy, nawet dzieci. Sam wiedział o tym z własnego doświadczenia. Strach może być niebezpieczny. Może wyrządzić krzywdę. A teraz w szkole panował obłąkańczy strach.
Życie w Perdido Beach się zmieniło. Stało się coś poważnego i potwornego.
Sam miał tylko nadzieję, że to nie jego sprawka.

ROZDZIAŁ 2

298 GODZIN, 38 MINUT

Uczniowie wysypywali się ze szkoły, pojedynczo i w niewielkich grupach. Niektóre dziewczyny szły trójkami, obejmując się nawzajem, ze łzami spływającymi po twarzach. Niektórzy chłopcy garbili się, skuleni, jakby niebo mogło spaść im na głowę, i nikogo nie obejmowali. Wielu płakało.

Sam przypomniał sobie telewizyjne wiadomości ze szkolnych strzelanin. Dzieciaki były oszołomione, przestraszone, ogarnięte histerią – albo pokrywały histerię wybuchami śmiechu i głośnymi popisami.

Bracia i siostry trzymali się blisko siebie. Tak samo przyjaciele. Niektóre młodsze dzieci, z zerówki i z pierwszej klasy, krążyły po terenie szkoły, bezładnie, bez celu. Były za małe, by trafić do własnych domów.

Przedszkolaki z Perdido Beach chodziły w większości do przedszkola Barbara's, ozdobionego przyblakłymi wizerunkami postaci z kreskówek budynku w centrum. Stał obok sklepu z narzędziami Ace, po przeciwnej stronie rynku niż McDonald's.

Sam zastanawiał się, czy maluchom z Barbara's nic nie jest. Pewnie nic. Nie jego sprawa. Ale musiał coś powiedzieć.

– Co z tymi młodszymi? – spytał. – Wyjdą na ulicę i wpadną pod samochód.

Quinn zatrzymał się i popatrzył. Nie na małe dzieci, tylko na ulicę.

– Widzisz tu jakieś samochody?

Światło zmieniło się z czerwonego na zielone. Żaden samochód nie czekał na skrzyżowaniu. Dźwięk autoalarmów stał się teraz głośniejszy – wyły trzy czy cztery różne alarmy. A może i więcej.

– Najpierw sprawdźmy, co u naszych rodziców – powiedziała Astrid. – Przecież wszyscy dorośli nie mogą zniknąć – nie była o tym przekonana, więc się poprawiła: – To znaczy, mało prawdopodobne, żeby zniknęli.

– Tak – zgodził się Sam. – Muszą być dorośli. Prawda?

– Moja mama pewnie jest w domu albo gra w tenisa – stwierdziła Astrid. – Chyba że ma spotkanie czy coś w tym stylu. Mama albo tata odbiorą mojego młodszego brata. Tata jest w pracy. Pracuje w PBNP.

PBNP była elektrownią atomową – Perdido Beach Nuclear Power. Znajdowała się zaledwie o piętnaście kilometrów od szkoły. Nikt w mieście już o tym nie myślał, ale dawno temu, w latach dziewięćdziesiątych zdarzył się wypadek. Dziwaczny, jak mówiono. Prawdopodobieństwo jeden na milion. Nic, czym warto by się przejmować. Ludzie mówili, że właśnie dlatego Perdido Beach pozostało małym miasteczkiem i nie rozrosło się jak Santa Barbara, znajdujące się dalej na wybrzeżu. Perdido Beach przezywano Aleją Opadów Promieniotwórczych. Rzadko ktoś chciał się osiedlić w miejscowości o takiej nazwie, choć dawno usunięto wszystkie radioaktywne substancje.

Cała trójka, z Quinnem na czele, podążała szybkim krokiem przez Sheridan Avenue, po czym skręciła w prawo w Alameda.

Na rogu Sheridan Avenue i Alameda Avenue stał samochód z włączonym silnikiem. Auto uderzyło w zaparkowaną toyotę terenówkę. Alarm toyoty włączył się i gasł, przez minutę piszcząc, by potem zamilknąć. Poduszki powietrzne w toyocie zadziałały automatycznie. Zwiotczałe białe balony zwieszały się z kierownicy i deski rozdzielczej.

W terenówce nikogo nie było. Spod pogiętej maski dobywała się para.

Sam coś zauważył, ale nie chciał mówić tego głośno. Astrid powiedziała za niego:

– Drzwi są ciągle zablokowane. Widzicie klamki? Gdyby ktoś był w środku i wysiadł, drzwi byłyby odblokowane.

– Ktoś prowadził samochód i zniknął – stwierdził Quinn. Nie mówił tego tonem żartu. Żarty się skończyły.

Dom Quinna znajdował się o dwie przecznice stąd, przy Alameda. Quinn starał się robić dobrą minę do złej gry, zachowywać się nonszalancko. Chciał wyglądać na wyluzowanego. Ale nagle zaczął biec.

Sam i Astrid też puścili się biegiem, jednak Quinn był szybszy. Kapelusz spadł mu z głowy. Sam pochylił się i podniósł fedorę.

Gdy dogonili Quinna, ten zdążył już otworzyć drzwi wejściowe i wpaść do środka. Sam i Astrid weszli do kuchni, po czym przystanęli.

– Mamo! Tato! Mamo! Hej!

Quinn był na górze i wołał. Z każdym okrzykiem jego głos przybierał na sile. Słowa stawały się głośniejsze i szybsze, a szloch wyraźniejszy, więc pozostałej dwójce coraz trudniej było udawać, że go nie słyszą.

Pędem zbiegł po schodach, wciąż wzywając swoją rodzinę, ale odpowiadała mu jedynie cisza.

Nadal miał okulary przeciwsłoneczne, więc Sam nie widział oczu przyjaciela. Ale po policzkach Quinna spływały łzy, które słychać było także w jego urywanym głosie. Sam niemal czuł, jak tamtego ściska za gardło, bo jego ściskało tak samo. Nie wiedział, co może w tym momencie zrobić, by pomóc przyjacielowi.

Położył fedorę Quinna na blacie.

Tamtén zatrzymał się w kuchni. Ciężko dyszał.

– Nie ma jej tu, stary. Nie ma jej. Telefony nie działają. Zostawiła jakąś kartkę albo coś? Widziałeś kartkę? Poszukaj.

Astrid pstryknęła włącznikiem światła.

– Prąd ciągle jest.

– A jeśli oni nie żyją?